

## O Staśku co chciał dojść do słońca cz. 2

Stasiek znowu wędrował za słońcem. Zauważył, że idzie trochę jakby zygzakiem, ale nie przejął się tym zbyt. Podziwiał piękno przyrody i cieszył się, że świat go tak obdarował, że może je podziwiać. Maszerował już chyba z trzy miesiące, gdy dotarł do olbrzymiej dżungli. Nie wystraszyły go zwisające liany, wielkie drzewa, ani straszny gąszcz. Wszedł do puszczy i zaniemówił z wrażenia. Było tu tak pięknie. Takiego widoku jeszcze nigdy nie widział. Chodził po wielu lasach, ale nigdy po takim. Tyle tu roślo roślin. Niektóre były takie wysokie, że z pewnością dosięgały do słońca - pomyślał. Już miał zacząć się wspinać na jedno z nich, gdy drogę zastąpił mu duży kot - jaguar. Zląkł się nie na żarty, ale już biegł do drugiego drzewa. Tam z kolei spotkał ogromnego węża dusiciela, który zwisał z gałęzi. Uciekał co tchu, aż wydało mu się, że znalazł odpowiednią roślinę, jednak nie mógł do niej dojść, ponieważ stało przy niej gigantyczne mrowisko. Chodziły po nim kolosalne mrówki, które widząc go ruszyły na jego buty. Stasiek podskakiwał i krzyczał, bo takie ugryzienie jest bolesne. Strasznie przy tym hałasował, więc w końcu zauważyli go Afrykańczycy przechodzący nieopodal.

"Miałeś dużo szczęścia!" - Mówili gdy strzepnęli z niego wszystkie owady i zaprowadzili do swojej wioski. "Tędy rzadko ktoś przechodzi, a w dżungli, zwłaszcza w nocy trudno tu przetrwać." Opowiedzieli mu wieczorem historię plemienia Tucanów, ponieważ zauważyli, że interesuje go temat słońca. A było to tak, że żył sobie kiedyś na ziemi dzielny tukan. Poleciał aż do słońca i wykradł jego kawałek, po czym przyniósł go ludziom na ziemię. Słońce jest strasznie ciepłe i ptak przypalił sobie skrawek dzioba.

- Naprawdę?! - wykrzyknął Stach - A więc pokażcie mi ten kawałek słońca!

- Spójrz na ognisko. Zobacz jak wesoło tam płonie.

- Ale to przecież tylko ogień! - Zdziwił się mężczyzna.

- Jeśli zostaniesz z nami trochę dłużej, przekonasz się jaki to skarb.

Jednak on wcale nie chciał zostawać. Po wspólnej kolacji podziękował, wyszedł z puszczy i ruszył w dalszą drogę, ale rad był z tych odwiedzin.

I znowu szedł i szedł. Spotykało go wiele przygód, których nie sposób opisać w tej opowieści. Wędrował tak długo, aż zobaczył mrowie budynków. Ulic co nie miara i dorożek jeżdżących we wszystkie strony. "To musi być miasto. Tu miał dotrzeć mój drugi brat." - stwierdził chłopak. Ile tu było ludzi w pięknych strojach! U niego nawet w niedzielę się tak nie ubierano. Kroczył po chodniku podziwiając to wszystko myśląc: "U nas na wsi tylko nieliczni zobaczą takie luksusy. Mam szczęście, że ja się do tej garstki zaliczam." Po chwili odnalazł sklep z napisem "Warsztat u Bogusława". Tak właśnie na imię miał jego brat. Jak to dobrze, że nauczył się czytać (bo w tamtych czasach rzadko kto chodził do szkoły) od starego, mądrego dziada, który kiedyś się u nich się zatrzymał. Wszedł, a tam powitał go sam Bogusław stojący przy ladzie.

- W ogóle się nie zmieniłeś! - Wykrzyknął braciszek gdy go zobaczył - Jak tam u ciebie?

- Jestem w drodze do słońca.

- Nadal go szukasz!? - zdziwił się mężczyzna i po chwili się roześmiał - Nie mógłbyś się gdzieś osadzić? Mnie się na przykład świetnie powodzi! Ciągłe jesteś w drodze? Ale powiedz mi - czy rodzice mają się dobrze? - nie dawał dojść do słowa Staśkowi.

- Rodzice przesyłają pozdrowienia. Tak, nadal go szukam i chciałbym żebyś mi pomógł.

- Moim zdaniem to bzdura, ale powiedz mi, czego sobie życzysz?

- Wchodząc do miasta dostrzegłem na niebie latające maszyny. Nie wiem co to było, ale umie się unieść bardzo wysoko. Z czymś takim na pewno z łatwością doleciałbym do słońca.

- Ach tak. Widziałeś samoloty? Masz szczęście. Dopiero niedawno je wynaleziono i nie można tak sobie po prostu nimi latać. Masz szczęście, bo jestem mechanikiem i mam swoje znajomości. Często reperuję samoloty - to nie są bezpieczne maszyny, ale jeśli chcesz, umówię cię na pojutrze z moim znajomym - on jest lotnikiem.

- Och świetnie! Wielkie dzięki! - Zawołał Stach i już dwa dni później zapinał pasy w samolocie. Urządzenie to, nie wyglądało jednak tak samo jak nasze samoloty, którymi teraz latamy - ogromnymi, do których może się zmieścić kilkadziesiąt osób. Do tego mogły wejść tylko dwie - on i jego pilot.

Gdy samolot się uniół i leciał coraz wyżej i wyżej, Staśkowi zaparło dech w piersiach. Stąd ludzie wyglądali jak mrówki, łażące po kuchni. Wyznaczonymi ścieżkami, dreptały całe tabuny malutkich stworzeń, zapracowanych, goniących przed siebie w pośpiechu. Budynki, które wydawały się takie ogromne, też już nie wyglądały potężnie. Ot po prostu klocki do zabawy. "Już wiem, co to znaczy patrzeć na kogoś z góry" - stwierdził chłop. Był taki szczęśliwy, że mógł lecieć, czymś co dla innych było tylko marzeniem. Oglądał przepiękne widoki. Nawet stojąc na wielkiej górze nie widział czegoś takiego. Teraz czuł się jak oswobodzony ptak. Teraz czuł się wolny. Teraz w końcu oderwał się od ziemi!

Co prawda samolot potrafił latać bardzo wysoko, ale nie aż tak, żeby dolecieć do słońca, lecz Stasiek się tym nie przejął. Widział rzeczy tak piękne, że gdyby mógł być tam w górze przez całe życie, toby zapewne

zrezygnował ze swojej podróży. Musiał jednak kiedyś wrócić na ziemię, więc już po kilku dniach spędzonych u swojego brata ruszył w dalszą drogę.

Szedł, biegł, stapał, maszerował, kicał, czołgał się i przedzierał przez mniej - więcej pół roku, ale tylko w dzień, bo w nocy słońca nie widać. I tak sobie pewnego razu chłopczyzna pomyślał: "Skoro nie widać go w nocy, to znaczy, że musi się ono gdzieś chować, bo raczej nie znika zupełnie, z rano się pojawia. Ciekawe tylko gdzie jest jego kryjówka?". Od tej pory Stasiek zaglądał we wszystkie możliwe miejsca, z nadzieją, że je tam znajdzie. Poruszał się przy okazji coraz dalej i dalej w nieznane lądy.

Pewnego dnia idąc lasem wszedł do wielkiej piaskownicy, a przynajmniej tak mu się zdawało. Patrzył cały czas pod nogi, pod którymi szurały tony piasku rozgrzane przez słońce. Tyle ich tu było! W pewnym momencie podniósł głowę i zobaczył zdumiewający widok. Już nie ważne stały się pokłady żółtego żwiru, bo oto ujrzał coś niesamowitego. Przed jego oczami było morze! To musiało być morze. Słyszał, iż jest w nim dużo wody, ale nie myślał, że aż tyle! Nie widział drugiego brzegu, jak zazwyczaj jest to w jeziorze. Fale z wielkim hukiem padały na plażę. Mieniły się kolory morskiej toni. Tak, to było piękne. „Znów widzę coś, co przerasta ludzki mózg” – pomyślał. To życie było piękne.

Gdy patrzył tak na ten jeden z cudów świata, nieopodal zacumowała łódź rybacka. Zauważył ją i zaczął obserwować z zaciekawieniem. Rybak pracujący przy sieciach, spojrzał nagle w stronę chłopca i wykrzyknął:

- Stasiek! To ty? Mój brachu! Co tutaj robisz? – Zdziwił się Stach, ale już po chwili rozpoznał w tym człowieku swojego najmłodszego brata.

- Och bracie! To ty!

- No jasne, że ja. Nadal szukasz słońca? – zapytał od razu.

- Przeszedłem lasy i doliny w jego poszukiwaniu. To zapewne kres mojej podróży. Chyba się już poddam. – Ze smutkiem powiedział. Zasmucił się rybak na te słowa, lecz zaraz pocieszył:

- Posłuchaj, chodź do mnie do chaty, a wieczorem przyjdziemy na plażę i coś ci pokażę.

Pod koniec dnia rodzeństwo rażno ruszyło na plażę. „Zamknij oczy” - poprosił starszy brat. Rybak trzymając za ramię, wprowadził kompana na plażę. „Możesz odsonić” – powiedział. Stach odsonił oczy i prawie się przewrócił!

- Powiem ci coś bracie. – Rzekł – Widziałem wiele rzeczy w swoim życiu, o których niektórzy ludzie nie mają pojęcia, ale nic nie może się równać z tym widokiem. – Dokończył i się rozplakał.

Siedzieli razem na piasku wpatrując się nieprzebyte morze, za które kładło się słońce w purpurze. To właśnie słońce było celem życia Stacha. Czymś, dla którego żył i za każdym razem miał siłę ruszyć w dalszą drogę. Ono codziennie budziło go rano, prowadziło cały dzień przez nieznane lądy i chowało się wieczorem, tu za morzem. Doprowadziło go aż tutaj, a on widząc jak majestatycznie zachodzi z orszakiem barw, rozplakał się.

- Tak nie może być! – krzyknął po chwili i rzucił się w słone odmęty. Chciał popłynąć wpraw, drogą, która wyznaczała świetlista smuga światła, rzucona na wodzie. Prowadziła ona prosto do wielkiej ciepłej kuli. Jednak najbardziej sprawny człowiek nie pokona morskich bałwanów, ani morskich koni. Morze szumiało. Wiatr wiał. Słońce oświetlało mu drogę i krzychało: „Uda Ci się! Dasz radę!”. I nagle cisza. Stach zamknął oczy i opadł na dno oceanu. Poczł się tak błogo jak nigdy w życiu. Ujrzał wtedy ogromne światło. Niby raziło go w oczy, ale było tak zniewalająco przyjemne.

Nie prawdą jest, że Stach żył na darmo. Że nie udało mu się za życia dojść do celu. On dotarł. Dotarł do największej światłości świata, jako człowiek niezwykły, ponieważ się nie poddał, aż do końca swoich dni.

Jeżyk